

Weronika Kwiatkowska

LABORATORIUM JERZEGO KUBINY



Fot. Weronika Kwiatkowska

Pablo Picasso mawiał, że niektórzy malarze przekształcają słońce w żółtą plamę, ale są inni, którzy dzięki swojej sztuce i inteligencji żółtą plamę zamieniają w słońce. Do tej grupy- artystów o dużej wrażliwości i wielkim talencie- należy z pewnością Jerzy Kubina. Jego dwie wystawy, pod wspólnym tytułem „Dust of life” mieliśmy okazję oglądać w połowie stycznia w Centrum Polsko-Słowiańskim i Galerii Kuriera. Obie przyciągnęły tłumy i potwierdziły świetną formę Artysty, który- co nie zdarza się często- cieszy się uznaniem nie tylko publiczności, ale również krytyków i środowiska.

Studium przemijania

Z daleka wyglądają, jak pordzewiałe kawałki metalu. Wydają się być twarde. Ciężkie. Chropowate. Trudno uwierzyć, że pod warstwami farby kryje się delikatna tkanina. Zafascynowana tym niespotykanym połączeniem pytam Autora skąd pomysł, by zastąpić tradycyjne płótno subtelną materią jedwabiu?

Jerzy Kubina: *Cały proces twórczy to swego rodzaju laboratorium. Lubię odkrywać różne rzeczy, które pojawiają się czasem zupełnie przypadkowo. Tak właśnie było z jedwabiem, który odkryłem pakując obrazy na wystawę. Okazało się, że to jedyny dostępny materiał, więc osoby zajmujące się transportem owinęły płótna w białe płachty tkaniny. W pewnym momencie zauważyłem, że jedwab przykleił się do płótna, co zaowocowało nieprawdopodobną wibracją kolorów. Zacząłem się tym zajmować i stwierdziłem, że jest to jakaś droga. Tym bardziej, że zależało mi na odkryciu nowego rodzaju technologii równie ekspresyjnej, co płótno, które już wtedy mniej mnie interesowało. Wcześniej robiłem instalacje, performance, ale klasyczna forma obrazu zawsze była mi bliska, więc jakieś dziesięć lat temu zacząłem pierwsze próby na jedwabiu.*



Idea użycia tak mocnych struktur na delikatnym materiale to kompletne szaleństwo- kontynuuje Jerzy Kubina. Ale okazuje się, że to „siada”, technologiczne wytrzymuje. Oczywiście zanim powstanie obraz jest masę walki o to, by stworzyć taką technologię, która będzie trwała. To nie jest zabawa farbami. Odbywa się cały proces prób na małych płaszczyznach, zanim osiągnie się zamierzony efekt. Poza tym-

dodaje- nie staram się budować obrazów na zasadzie matrycy, że każdy wychodzi taki sam, a tylko zmienia się delikatnie np. kompozycja czy kolor. Nie, to mnie nudzi. Każdy obraz, który przechodzi przez moją głowę czy ręce jest niepowtarzalny w sensie również technologicznym, nigdy go nie powielam. Do następnego podchodzę z szacunkiem, jako do nowego zjawiska. Staram się to zjawisko przeżyć, zbudować dla niego nową strukturę. Koncepcja natomiast zawsze oparta jest o serię, którą wyznacza, np. „Brooklyn Windows”, z okresu, kiedy pracowałem na Greenpoincie, czy „Dust of life”- reminiscencje z Hotelu Hamilton. Generalnie jednak każdy obraz jest budowany inaczej. Posiada swój technologiczny sekret.

Zatrzymujemy się na dłużej przy jednym z najbardziej rozpoznawalnych obrazów Kubiny- złotym drzewie. Artysta wyjaśnia:

Tutaj drzewo jest pewnego rodzaju legendą, narracją pejzażu. Nie chodzi o pierwszoplanowe pokazanie drzewa. Ma być ono jedynie tłem do tego, co się tu odbywa- Kubina wskazuje na zewnętrzną warstwę, pełną załamań, pęknięć. Te wszystkie linie, niedoskonałości, przetrawione kolory tworzą atmosferę, która ma dać odbiorcy bardzo ciepły kontakt z dziełem.

Obecnie jednak robię obrazy, które uciekają od dosłownej narracji- kontynuuje. Nie chcę, żeby pojawiały się rzeczy, które będą absolutnie jasną aluzją, jak wspomniane drzewo. Uciekam od oczywistości.



Zwracam uwagę na pracę, która wydaje się być inna, osobna. Odstaje od pozostałych nie tylko metaforycznie. *To reminiscencje z wcześniejszych doświadczeń- wyjaśnia Artysta- robiłem obrazy trójwymiarowe o olbrzymich formatach, blejtram był budowany w ten sposób, że wypychałem płótno do przodu, na pół metra, czasem metr. Taka fizyczna walka z płótnem. Bardzo fascynująca. Ostatnio zacząłem wprowadzać chemię- dodaje. Warstwy bardzo kontrastujące z delikatnością jedwabiu. Zacząłem używać patyny. Brutalnie traktować bezbronną materię. Pokrywać rdzą. Nietrudno odczytać metaforę. Starzenia się. Przemijania.*



W kolejnej pracy przykuwają wzrok odsłonięte fragmenty czystego jedwabiu. Przypominają nacięcia na skórze, spod których wyziera białe mięso. Drapieżne, niepokojące linie budują kontrast z ciepłym tłem. Pytam o kolory, bo większość prac utrzymana jest w podobnej, miodowej tonacji. *To barwy ziemi, ugry, ochry-* opowiada Autor. *Nie chcę używać kolorów pochodzenia nienaturalnego. Bo nie lubię impresjonizmu, co może być zaskakujące, bo przecież wywodzę się z pracowni wielkiego kolorysty Jana Szaucaenbacha.*

Powróćmy więc do początków...

Zamość-Kraków-Nowy Jork

Jerzy Kubina urodził się na zamojskiej Starówce. O rodzinnym mieście opowiada z wielką czułością, urzeczony jego pięknem: *Bardzo je kocham, siedzi we mnie głęboko. Odwiedzam Zamość niemal co roku, i z przyjemnością obserwuję, jak się zmienia. Jak z nędznych, obsikanych, smrodliwych podwórek, zdewastowanych fasad Starego Rynku, wyrasta wspaniały kwiat-* mówi zafascynowany. *Aż trudno uwierzyć, że zostało w tak cudowny sposób odrestaurowane.*

Miał zostać wirtuozem skrzypiec. Dziadek Antoni podarował małemu Jurkowi piękny instrument, a profesor ze szkoły muzycznej uznał, że ma słuch absolutny. Ale Kubina nie lubił rygoru, reżimu szkoły. Był- jak sam o sobie mówi- krnąbrnym dzieckiem. Wolał iść do parku z książką, albo jeszcze lepiej z dziewczyną i spędzać czas „kreatywnie”. *Pamiętam, że miałem jedno świadectwo, na którym od góry do dołu były same dwóje. Takiego ucznia jeszcze nie mieliśmy- mówili nauczyciele- śmieje się Artysta. Na szczęście pojawiła się pierwsza miłość, która- jak twierdzi- zaważyła na jego przyszłości. Anka- bo tak miała na imię- była w liceum plastycznym. Dzięki niej zacząłem bardziej interesować się sztuką. Była moją życiową inspiracją. Wyplukala ze mnie dużo głupoty. Spędzaliśmy ze sobą wiele czasu, chodziliśmy do lasu na plenery. To wszystko we mnie zbudowało poważne myślenie o edukacji.*



Miłość, jak się okazuje, była głównym motorem działania młodego adepta sztuki. Złożył teczkę na krakowską Akademię Sztuk Pięknych, którą kilka lat później ukończył z najwyższą lokatą. O studenckich czasach Kubina opowiada: *Fascynowałem się malarstwem de Kooninga, ekspresja zawsze mnie bardzo interesowała. Jego prace były dla mnie niesamowitym odpowietrzeniem, inspiracją, szczególnie, że trafiała na podatny grunt, moją ekspresyjną naturę. Oczywiście, były to czasy PRL-u, braku informacji, wszechobecnej szarżyzny, ale paradoksalnie ta blokada powodowała, że musieliśmy nadrabiać intelektualnie. Dużo się rozmawiało, dyskutowało, oglądało- wspomina. Każdy film, reprodukcja, wszystko było na wagę złota.*

Nowy Jork pojawił się w życiu Kubiny również za sprawą Pierwszej Miłości, która wyjechała za Ocean. Jednak pierwszego zetknięcia się z *american dream* Artysta nie wspomina najlepiej: *Przyjechałem do Nowego Jorku zaraz po skończeniu średniej szkoły, wtedy jeszcze jako obserwator. I szczerze mówiąc Miasto nie powaliło mnie z nóg- śmieje się. Może dlatego, że wyjeżdżałem z Polski na Zachód i znałem Włochy czy Francję, a może dlatego, że na samym początku znalazłem się na Greenpoincie i wszystko było takie jakieś wąskie, ciasne, nieadekwatne w stosunku do tego, co widziałem na filmach amerykańskich? Jednak nie to było najważniejsze. Przyjechałem na spotkanie z moją wielką miłością, w wakacje poprzedzające pierwszy rok na Akademii. Gdybym nie został przyjęty, to pewnie zostałbym na stałe. Na szczęście okazało się, że od października zaczynam studia, więc wróciłem do Polski. Anka miała przyjechać siedem miesięcy później, ale w międzyczasie wybuchł stan wojenny. Można powiedzieć, że Jaruzel zabił naszą miłość- żartuje. Wieloletnie rozstanie zrobiło swoje. Jak rdza- wtopiło się w to uczucie. Pokryło czysty jedwab..patyną.*

Minęło dziewięć lat i Jerzy Kubina znalazł się z powrotem w Nowym Jorku. Przyjechał na zaproszenie Michała Petelki i zamieszkał w jednym z budynków jego ojca. *Chciałem jak najszybciej osiągnąć taki poziom finansowy, żebym mógł być twórcą a nie robić jakiejś bzdury- wspomina początki życia na emigracji. Chciałem się skupić na malarstwie, lub zajmować rzeczami pokrewnymi. Zacząłem robić faux finish'e /malarstwo dekoracyjne, murale, imitacje kamienia etc./ co sprawiało mi wiele przyjemności. Dzięki temu poznałem bardzo ciekawe techniki, które pomagały mi później przy technologii mojego malarstwa. To była bardzo istotna wiedza i dość dobre pieniądze. Szybko stanąłem na nogi i mogłem malować.*

Łódź Podwodna

Na początku mojego pobytu zostałem zauważony przez Henryka Lachmana- kolekcjonera i wybitnego znawcę sztuki, który został moim mecenasem- kontynuuje Kubina. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie, zdziwienie Henryka, kiedy wszedł do mojego zapyziałego mieszkania. Robiłem wtedy instalacje z papy, rur, zwisało to wszystko z sufitu, na podłodze wały się jakieś porzewiałe rury wydechowe, a pomiędzy całym tym bałaganem stało moje łóżko. Widok musiał zrobić na nim duże wrażenie, bo od razu złożył mi propozycję nie do odrzucenia. Powiedział: słuchaj, mam w Paterson hotel, i jest w nim miejsce dla Ciebie. Opuszczona sala balowa, 10 tysięcy square feet, możesz przez rok używać jej jako swojej pracowni. I tak znalazłem się w New Jersey, pod skrzydłami Henryka Lachmana.



Paterson za swojej świetności było jedną wielką manufakturą tekstylną. Fabryka przy fabryce. I piękne, solidne domy z kamienia, w których mieszkali ich właściciele, głównie Austriacy i Żydzi. Dzisiaj to miasto o bardzo wysokim wskaźniku przestępczości. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy Kubina trafia do Hotelu Hamilton mieszkają w nim walfares, czyli ludzie, którym lokale przyznała opieka społeczna.

Kłębiły się tam dilerzy narkotyków, prostytutki, różnej maści odmieńcy, generalnie „element”- wspomina Artysta. Na samym dole pracowały panie Polki, które gotowały strawę dla personelu- z czego ja oczywiście chętnie korzystałem. Natomiast całe trzecie piętro zajmowały zbiory Henryka Lachmana. W każdym pokoju znajdowały się kolekcje arcydzieł, od najlepszych polskich malarzy po prace Warhola, piękne tkaniny, które Henryk zbierał, niesamowite rzeczy, sztuka najwyższej próby. A piętro niżej.. kokaina, cracki i szmugiel. Totalny odjazd- śmieje się.

Życie generalnie toczyło się na schodach. Niektórzy całymi dniami siedzieli tam z flaszką wódki, z piwem. Mijałem ich rano- już grzali. Wracałem wieczorem- a oni ciągle w tym samym miejscu. Nawet schodków nie zmieniali. Każdy miał swój. Trzeci, czy piąty. Pamiętam wielką Murzynkę, która zalegała na cały dzień w tej samej pozycji. Ekipa z recepcji też nie była lepsza. Normalnie muzeum osobliwości.

Sala balowa, w której mieściło się studio Kubiny była kompletnie zrujnowana. Po pożarze z 1984 roku nie podniosła się z klęczek. Złote stiuki zwisały z sufitu, tapeta odpadała płatami. Podłoga falowała. Na środku stał ogromny, zakurzony fortepian. Wszędzie kurz, popiół. W kątach jakieś stoły, koślawe krzesła, przetrącone meble. Ale dla wrażliwego Artysty to nieco odrealnione miejsce stanowiło źródło nieustającej inspiracji. Nie wspominając o mieszkańcach hotelu. Widmowych postaciach żywcem wyjętych z gangsterskiego filmu.

Nigdy nie zamykałem drzwi do pracowni i dzięki temu cała ta zgraja czuła do mnie respekt – opowiada Kubina. Kiedyś wyszedł z więzienia jeden koleś. Zawsze chodził z pilniczkiem w dłoniach, taki elegancik, ale dość przerażający typ. Zaczepił mnie i mówi- wiesz, kiedyś wszedłem do twojego studia, usiadłem, obejrzałem obrazy. You are genius, chodź ze mną. I zabrał mnie w rajd po barach. Zaliczyliśmy chyba wszystkie knajpy w Paterson, a w każdej ludzie rzucali mu się na szyję, bo –jak się okazało- był to jeden z największych dilerów w mieście, poza tym długo siedział w pudle. Kiedy wracaliśmy wyznał mi, że zrobił to specjalnie, by pokazać ludziom, że jestem pod jego „ochroną”. Teraz ci włos z głowy nie spadnie- powiedział. Żał by było, żeby zabili takiego człowieka, jak ty.

W Hotelu Hamilton Jerzy Kubina spędza prawie trzy lata. *Byłem jak zacadzony –podsumowuje. Był to zamknięty świat, z którego nawet nie trzeba było wychodzić, wszystko było na miejscu. Dlatego nazwałem go łodzią podwodną.*

Prisunic Gallery

Któregoś dnia Jacek Gulla zabrał mnie do –jak rozemocjonowany wyznał- najlepszej galerii w mieście. Było to nowe miejsce i jak się później okazało- zupełnie inne, niż „tradycyjne” galerie sztuki, które wtedy funkcjonowały w Soho. Poszliśmy na wernisaż i to, co tam zastałem zrobiło na mnie naprawdę wielkie wrażenie- opowiada Kubina. Właściciele- młodzi Francuzi- wynajęli na miesiąc budynek przeznaczony do rozbiórki i na każdym piętrze urządzili coś na kształt osobnej wystawy albo koncertu. Tu jakieś odjechane obrazy, tu saksofonista wzięty z ulicy, Luca Pizzorno pokazywał wtedy jakieś gigantyczne, pocięte metalowe formy buchające ogniem, Holand Miller ogromne płaszczyzny pochłapane, narzygane farbą... a między tym wszystkim przechadzały się piękne dziewczyny, piękni chłopcy, transwestyci, prostytutki z alfonsami, cały półświat. Szampan lał się wiadrami i czegoś takiego, rzeczywiście, jeszcze w Nowym Jorku nie widziałem.

Właścicielami byli synowie Bernarda Steinitza, francuskiego milionera, wielkiej sławy antykwariusza, specjalizującego się w Ludwiku IV. Rozemocjonowany Kubina postanawia pokazać im swoje portfolio, które zostaje bardzo dobrze przyjęte. Paul i Benjamin deklarują chęć odwiedzenia studia Artysty.

Przed galerią stała biała limuzyna, w środku panienki, szampan. Mielśmy razem pojechać do Peterson- opowiada Kubina. Wystraszyłem się, że jak taka gabłota podjedzie pod Hotel, to moi sąsiedzi, cała ta „podwodna” społeczność ją po prostu zjedzą- śmieje się. Kiedy przyjechaliśmy, wszyscy mieszkańcy oczywiście wylegli na lobby, więc czekał na nas taki dość specyficzny kordon powitalny. Widziałem, że Francuzi byli lekko zaniepokojeni, ale ku mojemu zdziwieniu ich „entrée” przebiegło bardzo spokojnie i kulturalnie. Obejrzawszy prace, od ręki kupili dziesięć obrazów, mimo, że część z nich nie była skończona i zaproponowali mi indywidualną wystawę w Prisunic Gallery. Kolejnym krokiem było zaproszenie do Paryża, gdzie pod skrzydłami rodziny Steinitz spędziłem szalony rok



Okres paryski

Bernard Steinizt kupił gigantyczną fabrykę baterii w Porte de Clignancourt, gdzie znajdowało się najsłynniejsze centrum handlu antykami. Kilometrami ciągnęły się antykwariaty- opowiada Kubina. Zanim jednak nowy właściciel zamienił fabrykę na ..supermarket antyczny, wprowadził tam artystów: Hollanda Millera, Luca Pizzorno, młodych filmowców z Paryża, każdy miał tam swoje studio. Więc łatwo się domyślić, co było dalej. Ciągłe imprezy, spotkania. A to minister kultury Jack Lang odwiedza mnie w pracowni, a to wnuczka Picasso zaprasza na kolację. Po drodze mam wystawę w galerii- nazwanej na cześć ojca Steinitzów- Louis XIV. Galeria mieściła się w Siódemce, czyli jednej z najbardziej prestiżowych dzielnic Paryża. Parę ulic dalej znajdowało się muzeum Rodina, z pięknym ogrodem. Tak więc dużo się działo, pojawiały się zawodowe możliwości, ale- ze skrucłą muszę przyznać- wyznaje Kubina- że nie wykorzystałem tej szansy. Wpadłem w wir totalnej balangi i w pewnym momencie poczułem, że muszę wracać do Nowego Jorku.

Non, je ne regrette rien*

Pytam Artystę, czy nie żałuje straconej szansy na, być może, międzynarodową karierę?

Żeby zrobić karierę trzeba trochę temu pomoc, popracować nad tym, a ja wszystko depczę- śmieje się Kubina. Oczywiście nie mogę powiedzieć, że mi nie zależy, bo to nieprawda. Każdy chce być spełniony, osiągnąć sukces, zrobić pieniądze, karierę, zdobyć piękne kobiety itd. Ale nigdy nie było to moim napędem. Nie myślałem o tym. Nie stanowiło to dla mnie motoru do działania- tłumaczy Malarz. Najważniejsze były i są fascynacja, emocje związane z procesem twórczym. To mnie rajcuje. To mi daje tak mocny napęd, takiego kopa, że zagłusza realny instynkt, tę chęć osiągnięcia sukcesu i dojścia do finansowej stabilizacji.

Z perspektywy czasu widzę, ile miałem możliwości. Ile szans zwyczajnie zaprzepaściłem. Ale nie żałuję. Bo za tymi- wydawałoby się błędnymi- decyzjami kryje się mój dorobek, którego nie sprzeniewierzyłem. To moja osobista droga, która czyni mnie tym, kim jestem dzisiaj. Pracuję, nie odszedłem od malarstwa. Cały czas prowadzę swoje laboratorium.

Czym zajmuje się Jerzy Kubina dzisiaj, poza pracą? *Wychowuję dzieci. To jest bardzo kreatywne i twórcze. Ostatnio mój syn wygrał konkurs na okładkę broszury w Carnegie Hall- mówi z dumą. Zaraz po przyjeździe z wakacji ogłoszono konkurs dla dzieci w całym stanie Nowy Jork. Miały namalować obrazek pt. muzyka. Chciał, by mu pomóc. Powiedziałem- narysuj, a ja zrobię jedynie korektę. Okazało się, że nie była potrzebna. Jakub namalował przepiękną „latającą” klawiaturę, klucze wiolinowe, jak ptaki. Zafascynował mnie.*

Choć, jak przyznaje, nigdy nie planował rodziny, chciał być wolnym, niezależnym, skupionym na sztuce artystą, spełnia się w roli ojca. Zapytany, czy chciałby dla swojego syna kariery

artystycznej, odpowiada: *Oczywiście, to najpiękniejsza rzecz, jaką możesz mieć w życiu. Tylko nie można myśleć o pieniądzach, że koniecznie musisz dojść do wielkiej kasy. A skupić się na tym, co ważne- procesie tworzenia. Sztuka jest pewnego rodzaju obrzędem- - wyjaśnia Kubina. To nie jest normalna praca, którą wykonujesz. W sztuce mamy do czynienia z działaniem abstrakcyjnym, które nie bazuje na jakiś konkretnych przesłankach. Wszystko odbywa się w relacji, interakcji z twoją psychiką, obojętnie czy malujesz obraz abstrakcyjny czy realistyczny, coś kreujesz, rozmawiasz z sobą samym. Przy malowaniu otwierają się inne przestrzenie. Wchodzisz w inną energię. To coś absolutnie niesamowitego.*

**tytuł piosenki Edith Piaf, z fr. Nie, niczego nie żałuję.*

Weronika Kwiatkowska

Nowy Jork, 17 lutego 2012 roku